

MAREK ZYBURA (wybór i opracowanie), IZABELA SURYNT (współpraca): „*Patagończyk w Berlinie*”. *Witold Gombrowicz w oczach krytyki niemieckiej*, Universitas, Kraków 2004, 634 ss.

Pokażny tom poświęcony recepcji pisarstwa Witolda Gombrowicza w Niemczech, wydany i rzetelnie opracowany przez Marka Zybure przy współpracy Izabeli Surynt, to naprawdę świetna książka, która w odróżnieniu od poprzedniego, nieco bezbarwnego tomu z serii „Polonica leguntur”, poświęconego niemieckiej recepcji twórczości Tadeusza Różewicza, gromadzi artykuły i eseje w większości napisane z wdziękiem i intelektualnym „pazurem”. Być może samo dzieło Gombrowicza prowokuje do takiego pisania, odrobinę zadziornego, okraszzonego szczyptą intelektualnej brawury i krztyną ożywczej ironii. Teksty m.in. Hansa Mayera (*Witolda Gombrowicza poglądy*), François Bondy’ego (*Witold Gombrowicz albo: szlachcica polskiego pojedynki cieniów*), Wolfganga Hädecke (*Bunt przeciwko formie*), Fritza J. Raddatza (*Pojedynek jako dialog: Witold Gombrowicz*), Petera Hamma (*Gombrowicz i parawan*), Dietera Reichardta (*Gombrowicz a literatura argentyńska*), czy Gudrun Langer (*Opowiadanie Witolda Gombrowicza „Zdarzenie na brygu Banbury” jako zamaskowany tekst homoerotyczny*) świadczą o pełnym pasji obcowaniu z literaturą naszego niedosłego noblisty, a zarazem o żywym zainteresowaniu, jakie począwszy od lat 60. ubiegłego wieku wzbudzały w Niemczech jego książki.

Jak piszą we *Wstępie* I. Surynt i M. Zybura, „W powojennych dziejach recepcji literatury polskiej w niemieckim kręgu językowym twórczość Witolda Gombrowicza zajmuje miejsce szczególne: jest on tam najczęściej obok Sławomira Mrożka i Tadeusza Różewicza tłumaczonym, wydawanym i wystawianym polskim autorem [...] W latach 70. i 80. Gombrowicz pozostaje z ponad sześćdziesięcioma premierami na niemieckojęzycznych scenach najczęściej granym tam polskim dramatopisarzem zaraz po Mrożku”.

Więszym zainteresowaniem niemieckich krytyków i badaczy cieszy się niewątpliwie proza i dramaturgia pisarza aniżeli jego diarystyka. O ile w Polsce uznaje się niekiedy *Dziennik* za najznacześniejsze dokonanie Gombrowicza, o tyle niemiecka krytyka zrazu zżymała się na osobliwe wynurzenia polskiego pisarza: „[...] za całkowitą banalność licznych maksym i zastraszającą nieinteligencję bezkresnych refleksji odpowiedzialność ponosi już sam autor. [...] Witold Gombrowicz nie jest wielkim diarystą, za jakiego przez pomyłkę zgodnie uznała go krytyka” – chłoszcze Gombrowicza Fritz J. Raddatz (*Pojedynek jako dialog: Witold Gombrowicz*). W jego słowach daje się wyczuć irytację krytyka, któremu nie w smak rozbuchany egocentryzm autora i jego irytujące pozerstwo, skrzyżowane – co zakrawa na czysty paradoks – z bezlitosną wiwisekcją własnego „ja”. Z polskiej perspektywy wygląda to wszystko niewątpliwie inaczej: oto w świat naszej rodzimej, przesiąkniętej psychologiczną prząsnością, diarystyki wszedł pisarz, który niczym sprawny chirurg przedziera się skalpelem przez kolejne pokłady tandety intelektualnej, przez prowincjonalną polskość z jej zamilowaniem do nurzania się w „przyjemnościach własnej cieśni”, z jej kultywowaniem tradycyjnych mitów i uwielbieniem dla poetów, którzy „wielcy byli”. Gombrowicz stara się wyjść poza tę ciasną i duszną rodzimość, poza zaklęty krąg Kopernika, Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Chopina. A jednak sięgając po Rabelaisa, Montaigne’a, czy Sartrea, a więc po to, co „zagraniczne” i „obce”, pozostaje w swoich zmaganiach głęboko uwikłany w dylematy polskości. Zapewne tylko w takim tyglu stylów, tradycji

i myśli mógł się zrodzić *Dziennik*. Celnie ujął tę kwestię Wojciech Karpiński. W *Postłowiu* do *Dziennika* tak oto pisał: „Postługując się językiem godnym Mickiewicza – można by powiedzieć: językiem Paska czytanego po Pascalu i Nietzschem – mógł zbudować ten niezwykle pomnik polskiej prozy, jakim jest ‘Dziennik’, pomnik artystyczny i intelektualny, tkwiący w rodzimej tradycji, lecz otwarty na dokonania innych, dzieło dostępne powszechnie, bo wyraża, ujętą zarazem w perspektywie jednostkowej i uniwersalnej, indywiduálną świadomość i jej konkretne zmagania ze światem, z teraźniejszością i przeszłością”.

O twórczości Gombrowicza pisać jest zarazem łatwo i bardzo trudno. Łatwo, bo to iskrzące się paradoksami dzieło w pewnym sensie samo prowokuje, by stoczyć z nim intelektualny pojedynek. Trudno, bo pułapki zastawione na badacza i krytyka są tu niezmierzone. W istocie, niejeden wytrawny uczyony może sobie połamać zęby na jego twórczości, wystawiając się na powszechne pośmiewisko. Albowiem próbując wcisnąć Gombrowicza w ciasne ramy dyskursu naukowego niechybnie naraża się na zarzut, że „im mądrzej” konstruuje swoje hipotezy „tym głupiej”: „Tu by szło o głupotę, postępującą z rozumem, która z nim razem wzrasta. Spójrzcież na wszystkie festyny intelektu: te koncepcje! Te odkrycia! Perspektywy! Subtelności! Publikacje! Kongresy! Dyskusje! Instytuty! Uniwersytety! A jednak: głupio” – pisze Gombrowicz na kartach *Dziennika*.

Zaiste, *Dziennik* Gombrowicza powinien znaleźć się w kanonie lektur każdego adepta nauki i krytyki literackiej, któremu ktoś wmówił, że będzie wykonywał spokojną profesję, pozbawioną strachu i lęku przed nieznanym. W rzeczywistości jest przecież zupełnie inaczej: kto pragnie wznieść się ponad poziom wszechobecnej przeciętności, musi niechybnie porzucić marzenia o bezpiecznej egzystencji. Książki też potrafią kasać, a już najdotkliwiej kasają te wielkie. Dlatego też wybitnych badaczy i krytyków poznajemy nie po ich wiedzy i liczbie publikacji, ale – podobnie jak starych wojaków – po bliznach...

Nie należy więc współczuć autorom tekstów zamieszczonych w tomie poświęconym niemieckiej recepcji Gombrowicza, że obcując z jego twórczością odnieśli tak wiele obrażeń. Nie współczuć im trzeba, a zazdrościć. Pisarze, którzy mają ostre kły, są bowiem wbrew pozorom rzadkością. Uczą kochać niebezpieczeństwo, co znaczy: uczą wychodzić poza idee. Jak pisze w swoim świetnym artykule Peter Hamm: „Gombrowicz [...] nie zna przekonania, a dokładniej: wszystkie jego przekonania można sprowadzić do jednego, takiego mianowicie, że nawet najwznioślejszym przekonaniom, i to zwłaszcza im, grozi nieustanne niebezpieczeństwo kompromitacji ze strony samego życia. Zmysły są czymś o wiele bardziej rzeczywistym i rozległym niż duch – brzmi najważniejsza gombrowiczowska przesłanka” (*Gombrowicz i parawan*). Po czym przytacza słowa samego pisarza: „Idea jest i będzie zawsze parawanem, za którym dzieją się sprawy inne i ważniejsze. Idea jest pretekstem” (*Dziennik*).

Gombrowicz nie wierzy w filozofię „nieerotyczną”, a więc taką, która nie znajduje oparcia w ciele. Tak samo zdaje się nie wierzyć w „nieerotyczną” naukę i krytykę, skrytą za pancerną formą, której na imię „idea”. Wyszydza akademicką „dojrzałość”, jakże często stanowiącą parawan dla zwyczajnej indolencji i wewnętrznej pustki. Wolfgang Hadecke trafnie zauważa w tym kontekście: „Tylko na zewnątrz jesteśmy dojrzały i uporządkowani; w naszej prywatnej, intymnej sferze, w podglebiu naszej egzystencji okazujemy się niedojrzały i niedostatecznie przygotowani, jesteśmy przyciągani przez każdy niższy świat”. Gombrowicz pokazuje, że dojrzałe i jasne formy naszej egzystencji stanowią *pium desiderium*, w rzeczywistości żyjemy stale poniżej tego wysokiego poziomu: „w dziedzinie zgoła niehonorowej i niezaszczytnej i tak dalece byle jakiej, że wahamy się, czy przyznać jej choćby jakiś pozór egzystencji” (*Bunt przeciwko formie*).



Niemiecki eseista trafnie rozpoznał intencję Gombrowicza, który przecież nie żąda bynajmniej całkowitego odrzucenia formy, tym bardziej że – jak czytamy choćby w *Ferdydurke* – nie ma przed nią ucieczki jak tylko w inną formę. Nie chce prymatu bylejakości i tandety, przeciwnie, w gruncie rzeczy powoduje nim pragnienie odnalezienia rzeczy wielkich i wzniosłych, ufundowanych wszakże na przewrotnej grze niedojrzałości i dojrzałości, niedostatku i pełni, tego, co wysokie i tego, co niskie, podejrzane, szemrane. Tak jak w owym słynnym fragmencie *Dziennika*: „Przystanek i wsiada dziewczę, które... Jak powiedzieć? Piękność ma swoje tajemnice. Wiele jest pięknych melodii, ale tylko niektóre są jak ręka, która dławi. Ta piękność była tak biorąca że wszystkim zrobiło się dziwnie a może nawet wstydliwie – i nikt nie śmiał zdradzić się z tym, że się jej przypatruje, choć nie było oczu, które by ukradkiem nie podglądały jej olśniewającego istnienia. Wtem dziewczę najspokojniej zaczęło dłubać w nosie”.

Tedy zapytam: czy nas, „dojrzałych” badaczy i krytyków, poważnych, zaczytanych, nie bierze czasem chętką, by rzucić to wszystko, wybiec z domu, z uczelni, wpaść do tramwaju i przypatrywać się pięknym dziewczętom?

Łukasz Musiał

ERNST JÜNGER: *Promieniowania*, przeł. Sławomir Błaut, posłowiem i przypisami opatrzył Wojciech Kunicki przy współpracy Natalii i Krzysztofa Żarskich, Czytelnik, Warszawa 2004, 668 ss.

Wrocławski germanista i tłumacz, Wojciech Kunicki, zdołał dokonać rzeczy niebywałej. W przeciągu zaledwie kilku lat udało mu się bowiem wprowadzić w polski obieg intelektualny pisarza, który w innym wypadku zapewne podzieliłby smutne losy mnóstwa innych, niepoślednich, aczkolwiek niemal niewydawanych i niekomentowanych u nas twórców literatury niemieckiej. Co prawda już w połowie lat 80. minionego wieku autorem *Promieniowań* zainteresowali się redaktorzy „Literatury na Świecie”, poświęcając jego twórczości niemal cały numer i po raz pierwszy dając polskim czytelnikom szansę zaznajomienia się z finezją słynnych *Marmurowych skał*. Ale dopiero W. Kunicki niesłychanym uporem doprowadził do tego, że kolejne książki Ernsta Jüngera wydaje się z zadziwiającą jak na nasze warunki systematycznością.

Wydany z ogromną pieczołowitością przekład *Promieniowań* obejmuje zapiski z lat 1941-1944, istniejące pierwotnie w trzech częściach: *Pierwszy dziennik paryski* dokumentuje wczesny okres pobytu pisarza w stolicy okupowanej Francji (jako oficer sztabu komendatury Jünger zajmował się tam głównie sprawami dotyczącymi wewnętrznego sądownictwa *Wehrmachtu* oraz cenzurą wewnętrzną), *Zapiski kaukaskie* są z kolei świadectwem podróży inspekcyjnej, którą autor *Promieniowań* przeprowadził na froncie wschodnim na przełomie 1942 i 1943 r., zaś *Drugi dziennik paryski* stanowi pokłosie kolejnej bytności pisarza w Paryżu, trwającej do połowy sierpnia 1944 r., kiedy to zbliżająca się ofensywa aliantów zmusiła oddziały niemieckie do opuszczenia miasta. Tłumaczenie Sławomira Błauta opiera się na kanonicznym wydaniu *Promieniowań*, zamieszczonym w *Dziłach zebranych* Jüngera. Ich najistotniejszą bodaj część stanowią właśnie dzienniki, które pisarz prowadził z prze-